



A PROPOS...

<http://rcin.org.pl>

A handwritten signature in dark ink, appearing to be 'Schmied', is located in the bottom right corner of the page.

BIBLIOTEKA HUMORU T-WA WYDAWNICZEGO

SERJA DRUGA



REDAKTOR JULJAN TUWIM
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
ADMINISTRACJA: WARSZAWA, MAZOWIECKA 12

A PROPOS...

200 PEREŁ HUMORU

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



WARSZAWA/MCMXXVIII/KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKLAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE



5409

**DRUKARNIA NAUKOWA TOW. WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE
RYNEK STAREGO MIASTA II.**

A P R O P O S . . .

x

Jadę z Krakowa do Warszawy. W Częstochowie wsiada do przedziału jakiś jegomość z dwoma chłopcami. Najdokuczliwsze łobuzy i kretyny, jakich widziałem. Krzyczą, hałasują, pętają się po przedziale. Jeden z nich zaczyna grzebać w moim neseserze, drugi stroi do mnie jakieś piekielne grymasy.

— Niech pan uspokoi chłopców — mówię — bo będą nieprzyjemności.

Właściciel łobuzów nie odpowiada nawet.

Jedziemy dalej. Kretyni stają się coraz natrętniejsi.

— Panie—powiadam—po raz drugi pana proszę: niech pan uspokoi swoich synów, bo będą nieprzyjemności.

Ojciec patrzy na mnie przez chwilę ponuro, wreszcie mówi:

— Panie, coś panu powiem: wracam z Częstochowy. Sprawę tam przegrałem. Muszę pojutrze sześć tysięcy płacić. Dostałem depezę, żebym wracał do domu, bo mieszkanie okradli. Żonę będą jutro operować. Bilety wyrzucili chłopcy przez okno, a przed chwilą powiedział mi konduktor, że jadę fałszywym pociągiem. Co mi pan będzie nieprzyjemnościami groził.

*

Oskar Wilde opowiedział kiedyś w gronie przyjaciół następującą historyjkę:

— Zimna krew, moi kochani, to jedna z największych zalet charakteru. Jest to nie tylko piękna ale i pożyteczna cecha. Dam wam przykład. Wybuchł kiedyś pożar w przepelnionym teatrze. Widzów ogarnęła panika, w straszliwym popłochu zaczęli cisnąć się do drzwi. Wtedy jakiś pan, który nie stracił przytomności umysłu, wszedł na krzesło i krzyknął:

— Zaklinam was, uspokójcie się! Niema najmniejszego powodu do paniki! Niebezpieczeństwo minęło! Proszę, aby wszyscy wrócili na swoje miejsca!

Zimna krew tego pana podziałała na tłum. Wszyscy uspokoiли się i wrócili na swoje miejsce.

I wszyscy się spalili.

Tak jest, drodzy przyjaciele, przytomność umysłu, to jedna z najpiękniejszych zalet charakteru.

*

x Pan Finkielkraut jest z żoną i czteroletnim Benjaminskiem nad morzem. Siedzi sobie na plaży i czyta gazetę. Małżonka z synkiem kąpią się; Nagle pan Finkielkraut krzyczy przerażony:

— Rózia! Co to znaczy? Stoisz po szyję w wodzie! A gdzie jest Beniek?

Pani Finkielkrautowa uspakaja męża:

— Nie bój się! Trzymam go za rękę!

*

— Nic mnie tak nie może zdenerwować—mówi Caps do przyjaciela—jak przykry sen. Wyobraź sobie, że leżę w łóżku i nagle... nie leżę w łóżku. Leżę w dzikim lesie pomiędzy Afryką i Australją, rozumiesz? Przybiega zebra i napada mnie! Przyjemność, co? Uciekam. Biegnę. Padam. Ubranie mam na strzępy podarte — wtem przylatuje moja żona i zaczyna mnie bić parasolem!

— No, dzięki Bogu, że to był tylko sen—pociesz Cypsa przyjaciół.

— Zawracanie głowy! Podczas sceny z parasolem dawno już nie spałem!

*

Rotszyld pożyczył pewnemu biedakowi talara. Człowiek ten złożył uroczystą przysięgę, że zwróci dług w ciągu trzech dni. Ale Rotszyld nie uwierzył mu i uważał pieniądze za stracone. Zdumienie jego nie miało granic, gdy biedak punktualnie odniósł mu pożyczonego talara.

Po pewnym czasie ten sam „klient” znów zwraca się do Rotszylda o pożyczkę.

— Nie dam—odpowiada milioner.—Raz już pan zawiódł najniespodziewaniej moje nadzieje, drugi raz się to panu nie uda!

*

Buchalter firmy „Mojżesz Katz” był gburem. Pan Katz wyrzucił go i przyjął nowego buchaltera. Był to anioł i wersalczyk w jednej osobie: cichy, spokojny, grzeczny, układny, słowa głośnego nie umiał powiedzieć. Ta pokora i dobre wychowanie zaczęły denerwować pana Katza. Przywołał więc buchaltera pewnego dnia do siebie i powiedział:

— Panie, wyrzuciłem pańskiego poprzednika, bo to był cham i gbur. Alą pana mam już także dosyć. Pan nie ma swojego zdania. Pan się na wszystko zgadza. Kaszka na mleku pan jest, a nie buchalter. Żadnej energii, żadnej inicjatywy w panu niema. Żałuję już, że tamtego odprawiłem. Może pan sobie szukać innej posady!

Na te słowa cichy buchalter wpadł w furję:

— Co?! Wie pan, kto pan w takim razie jest? Świnia, oszust, łotr, bandyta, ścierwo!

Pan Katz spojrział na buchaltera, zaczął machać rękoma i odpowiedział:

— Za późno, panie, za późno! Teraz już nie pomogą żadne podlizywania!

*

Pewien prowincjał przyjechał po raz pierwszy do Warszawy. Nie może się zorientować. Podchodzi do policjanta:

— Przepraszam pana, gdzie jest Plac Teatralny?

— Plac Teatralny? Właśnie stoję na nim.

— Hm... To nic dziwnego, że go znaleźć nie mogę.

*

— Wyobraź sobie, jaką wczoraj miałem przygodę. Żona wyjechała, poszedłem więc do knajpy, wracam do domu zupełnie pijany—i nagle widzę w lustrze, że jakiś mężczyzna całuje moją żonę, która rzekomo przyjechała.

— Ładna historia!

— Przyglądam mu się—i widzę, że to nie żaden obcy mężczyzna, tylko ja sam...

— No i...?

— A oprócz tego widzę, że to wcale nie moja żona!...

*

— Znałem malarza, który z taką dokładnością namalował pajęczynę, że służąca myślała, że to prawdziwa i przez pół godziny usiłowała usunąć ją.

— To niemożliwe.

— Dlaczego? Zapewniam cię, że są tacy malarze.

— Ale takich służących niema.

*

Goldenberg musi odsiedzieć dwa lata. Dyrektor więzienia mówi mu:

— Żeby się panu nie nudziło, może pan tutaj pracować: wyplatać koszyki, robić papierowe pudełka, malować na szkle... Co pan wybiera?

Goldenberg namyśla się przez chwilę i wreszcie mówi:

— Panie dyrektorze, czy nie mógłbym zająć się tymi artykułami jako komiwojażer?

*

Prześliczną pannę Finkielstein z Warszawy poznał w Karlsbadzie młody anglik, arystokrata, który ród swój wywodzi od Stuartów. Miłość, jak to się mówi, nie pyta—potomek starożytnego rodu zakochał się na zabój w pannie Finkielstein, oświadczył się, został przyjęty. Po ślubie młodzi wyjechali do Londynu, a pani Finkielsteinowa wróciła do Warszawy. Znajome panie składają jej gratulacje. Pewnego dnia przyjmuje pani Finkielsteinowa swych gości—w żałobie.

— Na litość Boga, co się stało, kochana pani Finkielstein?—woła pani Seligsohn. Kto umarł?

— Nikt. Ale dzisiaj jest przecież rocznica śmierci naszej biednej Mani.

— Jakiej Mani?

— Marji Stuart.

*

— Tatusiu, co to jest etyka kupiecka?

— Widzisz, synku, to jest tak: jeżeli ktoś zapłaci mi w sklepie przez pomyłkę o 20 złotych za dużo, to połowę oddam swemu współnikowi.

*

✕ Znany z dowcipu komedjopisarz francuski Tristan Bernard spożywa śniadanie w jednym z najelegantszych

hotelów na Rivierze. Rachunek wypadł bardzo słony. Tristan Bernard każe zawołać zarządzającego.

— Pan jest dyrektorem restauracji?

— Tak jest.

Bernard zapłakał i rzucił mu się w ramiona:

— Najdroższy! Uściskaj mnie. Pocałuj mocno, mocno! Już się nigdy w życiu nie zobaczymy!

*

W pogoni za modną „linją” jedna z aktorek warszawskich doprowadziła swe kształty do straszliwego chuderlactwa. Kiedy w tych dniach rzucił się na nią jakiś pies, ktoś się odezwał:

— Czego się dziwić? Biedna psina nigdy nie widziała tyle kości naraz.

*

Rozbitek z okrętu angielskiego wyrzucony został na bezludną wyspę. Błąkał się długo, nie znajdując śladu istnienia ludzkiego. Był już w zupełnej rozpaczy, gdy w tem spostrzegł zdaleka coś, co obudziło w nim nadzieję. Zawołał radośnie:

— Jestem uratowany! Wyspę tą, jak widzę, zamieszkują ludzie cywilizowani.

Była to szubienica.

*

Rzecz dzieje się w kasynie, w Monte Carlo.

— Dostałem smutną nowinę—wzdycha jakiś gracz do ucha swej sąsiadki. — Biedny L. zastrzelił się w Ostendzie.

— Ach, Boże! to straszne — woła pani i blednie, płacze...

Niech się pani uspokoi. Trudno... I mnie go żal. Miał zaledwie 24 lata...

Pani ukrywa piękną twarz w dłoniach i szeptem boleśnie:

— Dwadzieścia cztery lata... Dwadzieścia cztery lata...

Potem rzuca melancholijnie na stół banknot i woła:

— Tysiąc franków na 24!

*

W pracowni rzeźbiarza:

— Mistrzu, w jaki sposób tworzy pan te arcydzieła?

— O, to bardzo proste! Bierze się kawał marmuru i odrąbuje się wszystko co w nim jest zbyteczne!

*

Sensacyjny numer w cyrku. Duo Jackson — angiely. Punktem kulminacyjnym numeru jest skok z wysokości 10 metrów: górny Jackson ma zeskoczyć na ręce dolnego Jacksona. Rzucają sobie krótkie zdania:

— Are you ready?

— Yes, allright.

— Come on!

Jackson skacze na Jacksona, ale tak niezręcznie, że trafił go piętą w twarz.

Uderzony Jackson syczy przez zęby:

— Moryc, zwarjowałeś?

*

Rebe zabawia dzieci w chederze rozmaitemi zagadkami.

— Słuchaj, Natanek! I jest małe jeziorko. I naokoło niego mała wąska ścieżka, a za ścieżką przepaść. I na tej wąskiej ścieżce stoi baranek. I musi przejść na drugą stronę, ale go nie wolno ani chodzić po ścieżce, ani pływać. Co on ma zrobić?

Natanek zastanawia się:

— Jeżeli go nie wolno iść po ścieżce i nie wolno go pływać, to nie przejdzie.

- A jednak przejdzie!
- Jak?
- Przepłynie!
- Przecież rebe sam mówił, że go nie wolno?!
- To on się będzie pytał, tak?

*

× O północy zjawia się w komisarjacie jakiś jegomość:

— Panie komisarzu, żona moja wyszła z domu dziś wczesnym rankiem i dotychczas nie wróciła. Obawiam się, że się jej coś stało.

— Musi mnie pan poinformować, jak żona wyglądała. Wzrost?

— Czy ja wiem? Zwyczajny...

— Waga?

— Nie mam pojęcia.

— Kolor oczu?

— Taki jakiś... Sam nie wiem.

— Jak była ubrana?

— Nie wiem... Pewno nosiła jakąś suknie i kapelusz. Ale wiem, że miała ze sobą psa.

— Jakiego psa?

— Foxterjera. 30 centymetrów od ziemi, waży 8 i pół funta. Głowa biała, prawe ucho czarne, na czole brązowa gwiazdka, wielkości srebrnej dwuzłotówki, ogon obcięty, na tylnej prawej nodze szrama, metalowa obroża z numerem 1374.

*

× Finkelsteina ugryzł wściekły pies. Przyjaciele jego są bardzo zaniepokojeni:

— Idź zaraz do doktora, żeby ci coś zastrzyknął, inaczej w ciągu trzech dni dostaniesz sam wścieklizny.

— I co?

— Jakto co? Zacznieś gryźć ludzi, jak pies.

— ! co?

— Jaki co? Setki osób mogą przez ciebie zachorować.

Finkelstein siada i zaczyna pisać.

Pisze dzień, pisze dwa dni, pisze trzy dni.

— Co tak piszesz? — zapytuje ktoś Finkelsteina.

— Układam listę osób, które będę gryzł.

*

Wyjątek z odezwy monarchistów:

„Kto nie jest monarchistą, ten jest wrogiem Rzeczypospolitej Polskiej”.

*

Kon i Pipman kąpią się w Wiśle,

— Słuchaj no, Pipman, załóżmy się o 5 złotych, kto dłużej wytrzyma pod wodą!

— Zgoda!

Kon i Pipman dają nurka.

— — — — —
Zwłok do dziś dnia nie odnaleziono.

*

Dwaj nasi autorzy dramatyczni, K. i W., postanowili razem napisać sztukę. Nazajutrz mają zacząć. K. przychodzi do W.

— Masz już pomysł?

— Nie. A ty?

— Także nie.

— No to nie traćmy czasu. Zaczynamy pisać.

*

— Tak, tak...—rzekł gorzko stary ksiądz prałat, smutnie kiwając głową. Był bowiem rozgoryczony, patrząc na młodą mężatkę w krótkiej sukni, z obciętemi włosami, z malowanymi wargami...—Tak, tak...—

powtórzył, słuchając wściekłej melodji charlestona, wygrywanej przez tę panią na oszalałem pianinie.

Postanowił przemówić do jej sumienia:

— Czy pani kiedy słyszała dziesięcioro przykazań?

— Niech ksiądz tylko parę taktów zagwizdże, a napewno zagram to dalej!

*

5 Młody autor czyta Tristanowi Bernardowi swą sztukę. Bernard słucha cierpliwie. Wreszcie, gdy autor skończył, Bernard zapytuje:

— Więc jak tam było przy końcu? Co się stało z bohaterką?

— Otruła się.

— Radzę panu, żeby się lepiej zastrzeliła. Chodzi o sam huk. Trzeba przecież publiczność obudzić.

*

Było to za czasów inflacji markowej. Mały Kazio zapytuje księdza na lekcji religji:

— Proszę księdza, dlaczego ta wdowa dała tyle pieniędzy?

Mówiąc to, pokazuje księdzu obrazek, przedstawiający ewangelicką wdowę, rzucającą swą ofiarę do skarbnicy.

— A ile, Kaziu?

— Dwanaście marek czterdzieści dwa grosze!

— Skąd ta suma, Kaziu? — zapytuje zdumiony ksiądz.

Na to Kazio pokazuje mu podpis pod obrazkiem: „Ofiara wdowy. Marek 12.42”.

*

Rozmowa dwóch głuchych:

Pierwszy (krzyczy): Może pójdziemy na ryby?

Drugi (krzyczy): Nie mogę, bo idę na ryby!

Pierwszy (krzyczy): To szkoda, bo myślałem, że pójdziemy na ryby!

*

Seans telepatyczny w mieszkaniu pp. Lebenfisza.

— Więc zgadnij teraz, Moryc, co ja pomyślałem?—zapytuje młody Lebenfisza.

— Pomyślałeś, że jeżeli poproszę cię abyś mi pożyczył 100 zł., to odpowiesz: „Nie dam”. Zgadłem?

— Nic podobnego.

— Nie? No to dawaj pieniądze?

*

Do „Bristolu” zajeżdża p. Frąckowiak ze Starogardu. Prosi o mały pokój. Portjer wyznacza pokój, chłopiec zabiera bagaż pani Frąckowiakowej i prowadzi ją. W pewnej chwili pani F. zaczyna energicznie protestować:

— Ale co to za pokój? To za mały pokój. Bez łóżka nawet! Tylko jakaś kanapka i lustro, nie biorę tego pokoju!

Chłopiec uspokaja ją:

— Proszę pani, to dopiero winda.

*

Na jarmarku w Psiej Wólce produkował się magik. Jeden z włościan wpadł w formalny zachwyt, gdy zobaczył, jak magik zmienił kobietę w papugę. Zwraca się więc do cudotwórcy z propozycją.

— Panie, zamieńcie mi moją babę w papugę, dam wam za to 500 złotych!

— Cóż to, gospodarzu? Czy tak bardzo pragniecie pozbyć się swojej baby?

— Nie. Tylko bardzo chcę mieć papugę!

*

Starszy, nerwowy, wygolony jegomość, sądząc z wyglądu autor, wchodzi do sklepu spożywczego w małym miasteczku.

— Proszę mi dać wszystkie zgniłe jajka, jakie pan ma na składzie. Pozatem może mnie pan poinformuje, gdzie tu są jeszcze jakie sklepy spozywce.

— POCO panu tyle zgniłych jajek? Czy wybiera się pan na dzisiejszejsze przedstawienie „Hamleta” tej przyjezdnej trupy?

— Css!... Nie tak głośno! Ja właśnie gram Hamleta.

*

Na ulicy stoi mały chłopiec i gorzko płacze. Jakaś litościwa dama podchodzi i zapytuje:

— Dlaczego płaczesz, maleńki?

— Ach, proszę pani, to przez artretyzm i reumatyzm.

— Jakto? W tak młodym wieku? To niemożliwe!

— Nie wiedziałem, jak się te słowa pisze i dostałem w szkole pałkę!

*

Heyman, kupiec z Radomia, przyjechał do Łodzi, wziął u Kona 10 sztuk towaru na kredyt, wystawił weksle i obarczony pakami manufaktury, jedzie z powrotem. Jest już w wagonie, gdy wtem przybiega zdyszany Kon:

— Panie Heyman! Oszust pan jest! Rozumie pan? Oszust!!

— Panie Kon, jak pan śmie obrażać mnie? Dlaczego oszust?

— Dlatego, że przed chwilą dowiedziałem się, że pan jest bankrut i reguluje pan częściowo ze swymi wierzycielami.

— Nie będę ukrywał. Tak jest. Mogę z panem także regulować.

— Na jakich warunkach?

— Na 50 procent.

— Dobrze, ale pod warunkiem, że natychmiast tutaj będzie uregulowane.

— Naturalnie. Wziąłem u pana 10 sztuk towaru, tak?

— Tak.

— Masz pan 5 sztuk z powrotem.

*

Od kilku dni mamy w domu nową służącą, Cecylję. Dobra dziewczyna, ale ma swoje dziwactwa. Przedewszystkiem codziennie podczas sprząwania chowa za parawan postument z gipsowym posągami Venus miłońskiej. Powtórę: ciągle czegoś szuka. Chodzi, nachyla się, zagląda pod szafę, pod stół, pod łóżko...

Zaciekawiony temi poszukiwaniami, pytam się dziś:

— Czego Cecylja tak ciągle szuka?

Dziewczyna zapłoniła się jak róża, w jej oczach błysnęły łzy:

— Proszę pana... już lepiej chyba będzie jeżeli się przyznam... Zaraz pierwszego dnia jak nastalam, to stłukłam tę nagą dziewczynę, co teraz za parawanem stoi. Na kawałki się rozbiła. Ale pozbierałam wszystko i zalepiłam. Tylko rąk znaleźć nie mogę — szukam, szukam i nigdzie niema.

*

Zasada gastronomiczna: „Bigosu nigdy nie jem w domu, bo wiem, co w nim jest, i nigdy w restauracji bo nie wiem, co w nim jest”.

*

Uroczystości państwowe w małym prowincjonalnym miasteczku. Orkiestry cechów i stowarzyszeń grają kolejno hymn narodowy. Tylko strażacka orkiestra gra „Z dymem pożarów”. Na zapytanie, dlaczego nie grają „Jeszcze Polska nie zginęła”, odpowiedzieli:

— My, jako strażacy, uważamy, że to dla nas odpowiedniejsze.

*

Podśluchana rozmowa dwóch starych żebraczek:

— A w nocy pod „Oazą” jeszcze stoisz?

— Nie. Starszą córkę zamaż wydałam, to musiałam zięciowi to miejsce dać w posagu.

*

W jednym z ogrodów paryskich bawią się dzieci. Jakiś trzyletni chłopczyk odbiega na stronę i... robi to co myśli. Małeńka dziewczynka przygląda się z podziwem i zdumieniem tej, że się tak wyrażę fontannie i mówi:

— Mon Dieu, comme c'est pratique!

*

Rzecz dzieje się przed trybunałem rewolucyjnym.

— Jak się nazywasz?

— Markiz de Saint-Cyr.

— Niema już markizów!

— De Saint-Cyr.

— Niema już de!

— Saint-Cyr.

— Święci się też skończyli!

— Cyr.

— I sir'ów niema!!

*

x — Szeregowy Piguła! Czem trzeba być w wojsku, aby mieć pogrzeb z kompanją honorową i wystrzałami armatniami?

— Nieboszczykiem, panie poruczniku!

*

Do słynnego rabina cudotwórcy w Górze Kalwarii przyjeżdża Abram Bieżuner, dzierżawca wielkich sadów owocowych pod Lublinem. Przywozi bogate prezenty i błaga rabina o sprawienie deszczu.

— Nie martw się, mówi rabin, jedź do domu, a po drodze otwórz parasol, bo zanim wrócisz — zacznie deszczyk kapać.

Abram Bieżuner pojechał z powrotem i otworzył po drodze parasol. Z początku kapało, a potem zaczęło lać jak z cebra.

Lało dzień, dwa, tydzień, drugi tydzień. Istny potop.

Na trzeci szabes przyszła depesza od cudotwórcy:

„Bieżuner, co słyhać? Telegrafuj czy ma dalej padać”.

*

x Z rozmowy: ...Ja proszę pana, jako ochotnik wtedy się zapisałem. Bo to było tak: ożeniłem się w lipcu, a wojna wybuchła w sierpniu. Ja, wie pan, spokój lubię, to poszedłem na wojnę...

*

Pitt, Klopp i Blummy siedzą w kawiarni. Klopp opowiada jakąś potężną historję. Najwybitniejsi łgarze całej kuli ziemskiej pękliby z zazdrości. Pitt i Blummy rzucali sobie tylko porozumiewawcze spojrzenia. Kiedy Klopp skończył, Pitt i Blummy zatkali sobie uszy dłońmi i zaczęli rozpaczliwie kiwać głowami. Wtedy Klopp rzekł:

— Więc daję wam słowo honoru, że to święta
prawda!

Wtedy Blummy spojrział na Kloppa i powiedział:

— Idjoto! Już chcieliśmy ci uwierzyć, a ty wy-
łazisz ze słowem honoru!...

*

— Brat mój ma złoty medal za bieg pięciokilo-
metrowy, dwa złote medale za skoki o tyczce, srebrny
medal za grę w tenisa, złoty puchar za boks i srebrny
posążek za rzut dyskiem.

— O, to brat pański jest wszechstronnie uzdol-
nionym sportowcem!

— Ani mu się śni! Jest właścicielem lombardu.

*

— Okrutni to rodzice, którzy oddają chłopców
na pikolaków do restauracji.

— Dlaczego?

— Pikolaki bardzo krótko żyją.

— Skąd wiesz?

— Widziałeś kiedy starego pikolaka?

*

Jakiś bardzo zdenerwowany pan przygląda się
tragarzom i posłańcom, stojącym przed dworcem. Wre-
szcie wybiera najroślejszego, barczystego draba i zwra-
ca się doń z propozycją następującą:

— Proszę pana, chciałbym sprawić memu Heń-
kowi porządne wały. Możeby się pan podjął i ile pan
bierze za godzinę?

*

✕ Pocker w małym miasteczku. Nagle do pokoju
wpada jeden z obywateli miasta.

— Czy jest tu doktor? Aha, panie doktorze, na litość Boga, żona moja zachorowała niebezpiecznie, musi pan jechać! Ja tu tymczasem zagram za pana...

*

Meyersohn odwiedza swego przyjaciela Kona w sklepie. Na ladzie leży 10 groszy.

— Słuchaj no, Kon, co to za pieniądze?

— Niech leżą — odpowiada Kon. — Mam nowego subiekta, to chcę się przekonać, czy on jest uczciwy. Położyłem 10 groszy i zobaczę, czy on je weźmie czy nie.

— Dziesięć groszy? Co to za suma? Jeżeli chcesz wypróbować jego uczciwość, połóż dwa złote.

— Dwa złote to nie jest żadna próba, — odpowiada Kon. — Dwa złote jabym także wziął.

*

Mój siedmioletni synek jest t. zw. „straszliwym dzieckiem”, czyli enfant terrible. Duszę tego okrutnika znam do głębi. Dlatego już o 10 rano uprzedzam go:

— Słuchaj, Mieciu, wieczorem przyjeżdża wuj Feliks. Jest kaleką, kuleje, proszę cię więc, żeby mi z tego powodu nie było żadnych głupich żarcików ani śmiechu.

Miecio kiwa głową.

Wieczorem zaś, ledwo Feliks wszedł do pokoju, Miecio zaczął w podejrzany sposób krążyć koło niego, wreszcie powiedział:

— Żeby wujaszek nawet obie nogi połamał, to także śmiać się nie będę!...

*

Znany z niezwykłego dowcipu poeta i krytyk teatralny A. S. ma tę maleńką wadę, że nie uznaje w rękopisach znaków przestankowych. Redaktor „Wia-

domości Literackich” ma ciągle utrapienie z manuskryptami swego współpracownika. Kiedyś zniecierpliwiony zwraca się do poety telefonicznie, robiąc mu wyrzuty za brak interpunkcji w rękopisie. Po godzinie redaktor otrzymuje przez posłańca list:

„Kochany Mieciu, przepraszam Cię za niedopatrzenie. Załączam znaki przestankowe: . , ; . , , . : — ? , . . ; ! : ! : „ ” . . , , ! Umieść je, gdzie będziesz uważał za stosowne. A. S.”

*

Delegat ministerstwa oświaty odwiedza szkołę dla jakałów. Dyrektor przedstawia mu jednego z uczniów:

— Panie delegacie, chciałbym zwrócić pańską uwagę na tego właśnie ucznia. Jeszcze przed trzema tygodniami nie mógł on wymówić swobodnie ani jednego słowa. Każde zdanie nastęczało mu niesłychane trudności. A teraz niech pan delegat zechce przekonać się o niezwykłych postępach w tym kierunku.

Delegat zaczyna egzaminować ucznia.

— Jak się pan nazywa?

— F... Franciszek Pac.

— Bardzo dobrze. Kiedy się pan urodził?

— Cz... czwartego lipca roku 1910.

— Świetnie! Gdzie?

— W Kazimierzu...

— Znakomicie! Rzeczwiście zadziwiający postęp!

Winszuję panu, panie dyrektorze! Pańska metoda nauczania jest niewątpliwie cudowna! Nie omieszkać zawiadomić o tem pana ministra. Zadziwiający rezultat! Niech pa...

W tej samej chwili uczeń wybuchł słowami:

— ...nad Wisłą!

*

Wykład stylistyki na uniwersytecie ludowym. Studenci mają napisać krótką nowelę.

— Proszę pamiętać — mówi docent — że tego typu nowelka, chcąc trafić do serca czytelnika, musi koniecznie posiadać trzy cechy: język prosty, codzienny; środowisko — arystokracja, bo to budzi większe zainteresowanie; pozatem powinien w niej być lekko zaznaczony element erotyczny”.

Najlepsza nowelka, jaką pan docent otrzymał, brzmiała następująco:

— Psiakrew — powiedziała hrabina — któż to mnie w nogę uszczypnął?”

Z NAUK MORALNYCH.

Wystrzegaj się popełniania morderstwa. Prowadzi ono do kradzieży, a stąd krok tylko jeden do kłamstwa.

*

Autentyczna scenka z małego miasteczka na Pomorzu. Służąca pani aptekarzowej L. zjawia się u pani N.:

— Proszę pani, pani aptekarzowa każe się kłaniać i zawiadamia, że dziś pokiera nie będzie, bo rury w klozecie zamarzły”.

SŁOWO-POTWÓR.

Chociaż Niemcy naogół pyszną się wszystkim co niemieckie, poczucie zaś słynnego „über alles” rozwinięte jest u zachodnich sąsiadów naszych w sposób często niepokojący, mimo to w przystępie dobrego humoru potrafią zakpić nawet z własnej mowy. Jedno z pism niemieckich podaje następujące, bardzo zabawne, rozważania z dziedziny dźwięczności języka niemieckiego, w którym, jak wiadomo, istnieje mnóstwo słów złożonych.

Jeżeli w kraju Hotentotów (Hottentoten) łapie się kangury (Beutelratte) do klatek (Kotter), zabitych deskami (Lattengitter), to taka klatka nazywa się po

niemiecku Lattengitterkotter, a uwięziony w niej kangur: Lattengitterkotterbeutelratte. Kiedyś aresztowano hotentota za to, że wykonał zamach (Attentat) na hotentokę, matkę (Hottentotenmutter) dwojga jākających się dzieci (Stottertrottel). Matka była więc Hottentostenstottertrottelmutter, a sprawa zbrodni — Hottentostenstottertrottelmutterattentäter. Wobec braku miejsca w więzieniu, zamknięto go do wyżej wymienionej klatki dla kangurów (Beutelrattenlattengitterkotter). Zwierzę, przestraszone widokiem zbrodniarza, wyskoczyło z klatki, lecz zostało schwytane przez dozorcę, który melduje o tem policji.

— Złapałem Beutelratte!

— Którego?

— Attentäterlattengittorkottenbeutelratte.

— Takich jest kilka! O którym mówisz?

— Hottentostenstottertrottelmutterattentäter.

— Aha! Przecież mogłeś od razu powiedzieć, że to (uwaga!!): Hottentostenstottertrottelmutterattentäterlattengitterkotterbeutelratte!

*

Byłem niedawno w Pucku. Wieczorem siedzę w jakimś szynku. Nuda, o jakiej nikt pojęcia nie ma. Z sąsiedniego pokoju dobiegły mnie głosy ożywionej dysputy, przyczem co kilka zdań słyszę słowa: „Absolut transcendentálny”. Myślę sobie: jacyś inteligentni ludzie. Podchodzę, pytam się, czy mogę usiąść.

— Prosimy.

— Bardzo dziękuję. Słyszałem właśnie, że panowie prowadzą rozmowę na temat absolutu transcendentálnego. Bardzo się tą sprawą interesuję, więc...

— Panie, daj pan spokój. Pan nic nie rozumie. To jest próba, czy języki jeszcze działają i czy można wypić następną kolejkę. Also, panowie — —

I chór ryknął: „Absolut transcendentálny!”

*

Aforyzm biblijnego Jonasza w brzuchu wieloryba: „Mogło być gorzej, bądź co bądź, jest tu przecież i mieszkanie i jedzenie. Mieszkanie—to wieloryb, jedzenie—to ja”.

*

Młoda para amerykańska odbywa podróż poślubną po Włoszech. Siedzą właśnie w gondoli i zachwycają się cudownym widokiem.

— Kochanie, jakie to miasto? Wenecja czy Florencja?

— A który dzisiaj?

— Czwarty lipca, mój jedyny.

On zaczyna szukać w kalendarzyku:

— 22... 26... 27... 30 czerwca... 1 lipca... 2... 3... aha, 4... Jesteśmy w Wenecji.

*

Do znakomitego krytyka B. zgłosił się początkujący poeta z prośbą o ocenę swych utworów. Przyniósł zeszyt, zawierający 75 wierszy. Czytał je krytykowi długo, bardzo długo. Krytyk słuchał cierpliwie. Kiedy poeta skończył, B. zapytał:

— Czy to wszystko, panie, co pan napisał?

— Tak jest. (Ukłon. Pauza).

— Hm... Tak... Wie pan co? Możeby pan zaczął co innego pisać?

— Ale co, proszę pana?

— Czy ja wiem? Możeby pan spróbował pisać wiersze?

*

W szpitalu wojskowym leżał od kiku dni poborowy Natan Lejbowicz, skarżąc się na silne bóle w sercu. Lekarze nie mogli dojść przyczyny tych bólów.

Dziś rano sanitariusz stwierdził, że Natan Lejbowicz umarł.

Na to jeden z żołnierzy:

— Ma szczęście facet! Dziś właśnie mieli go za symulację do areštu wpakować.

*

Maks Winterbauch, berlińczyk, wybrał się do Paryża. Kupił sobie tam szary cylinder, najmodniejsze getry paryskie i kapelusz dernier cri. Na bulwarze St. Martin podchodzi Maks do policjanta:

— Pardon, monsieur, pouvez-vous, s'il vous plait...

Policjant uśmiecha się:

— Niech pan mówi po niemiecku, znam ten język.

Maks jest obrażony:

— Pardon, monsieur! Je suis un parisien!

Policjant przeprosza go i pyta się, czem może służyć. Na to Maks:

— Pouvez-vous me dire, où est le Louvre?

*

Londyńskie towarzystwo wielbicieli Szekspira ogłosiło konkurs na wiersz ku czci genialnego poety. Wiersz ten ma być wryty na tablicy nad domem twórcy „Hamleta”. Po pewnym czasie zarząd towarzystwa otrzymał list następujący:

„Szanowna firmo! Niniejszem składamy ofertę na dostarczenie wiersza ku czci p. Szekspira. Prosimy tylko o zawiadomienie nas odwrotną pocztą, jakie są stosunki rodzinne jubilata i w jakiej branży p. Szekspir jest zatrudniony. Z poważaniem

Instytut Poezji Reklamowej „Pegaz”.

*

Działo się to w okresie ogromnego powodzenia „Dziejów Grzechu” na scenie teatru Polskiego w Warszawie.

W jednym z magazynów starożytności na Świętokrzyskiej wystawiono pięć figur. Jakiś pan chce kupić jedną z nich. Właściciel sklepu oświadcza, że sprzeda tylko komplet, bo te pięć figur stanowią całość: przedstawiają one pięć zmysłów. Dopiero po długich targach zgadza się właściciel za słoną cenę sprzedać jedną figurę. Nazajutrz zjawia się w sklepie amator na jedną z pozostałych figur. Znow to samo: te cztery figury — to całość: cztery pory roku. Zaczynają się pertraktacje, wreszcie klient kupuje co chciał. Trzy pozostałe figury wyobrażają teraz trzy gracie. Po kilku dniach zostały dwie i były one „Dniem i Nocą”. Wreszcie została tylko jedna. Ktoś wchodzi do magazynu i pyta o cenę. — Właściciel żąda 500 zł. Klient jest przerażony. „Dlaczego tak drogo?” — „To jest drogo? Za taki cymes? Za takie aktualność? Pan wie kto to jest? (szepem) Ewa Pobratyńska”!

*

Z raportu policyjnego: „Na ulicy Służewskiej poranił ciężko niejaki Łupalski swoją żonę z którą miał pięcioro dzieci za pomocą uderzenia młotkiem w głowę”.

*

Szczyt galanterji. Jedna z uroczych artystek warszawskich przechodziła niedawno operację ślepej kieszki. Kiedy obudziła się z uśpienia, ujrzała nad sobą chirurga d-ra L., wdzięcznie uśmiechającego się do ślicznej pacjentki:

— No i jakże to było, panie doktorze?

— Znakomicie, łaskawa pani! A propos, pani wyrostek robaczkowy był precudowny!

*

— Spójrz, jakie piękne nogi!
— E, mój drogi! Co z tego? Nawet najpiękniejsza noga gdzieś się kończy.

*

Kiedy hrabina L. wydała na świat murzynka, zaczęła gorzko płacząc, robić wyrzuty swemu mężowi:
— A mówiłam, żeby nie gasić elektryczności!

*

Spostrzeżenie: „Gazety i kobiety idą najlepiej na rogu ulicy”.

*

✕ Rada: „Nie gryź owocu zakazanego wstawionemi zębami”.

*

Istnieją trzy rodzaje kłamstwa: kłamstwo pospolite, przysięga i statystyka.

*

Przysłowie: „Ouod licet Jovi, non licet Lewi”.

*

✕ O N. powiedział ktoś: „Nie czyta, nie uczy się, nie uznaje autorytetów, słowem: idjota na własną rękę”.

*

Arbiter elegantiarum armji austriackiej pułkownik K. mawiał: „Spodnie huzara powinny być tak obcisłe, żeby pchły krzyczały z bólu, odbywając swą drogę pod niemi”.

*

Definicja: „Pesymista jest to człowiek, który wygrywa wszystkie zakłady”.

*

Rzecz dzieje się nad brzegiem morza w Zopotach. Pan Fingergold zwraca się do posterunkowego ratowniczego:

— Przepraszam, mój współnik Silberkopf dał nurka podczas kąpieli i jeszcze nie wypłynął. Więc zaczynam być niespokojny.

— Kiedy się to stało?

— Będzie już z półtorej godziny.

*

Proszony obiad u pana ministra. Pomiędzy jednym daniem a drugim jeden z posłów socjalistycznych rozmawia z ministrem, płonąc w szlachetnym oburzeniu:

— Panie ministrze! Tak dalej być nie może! W ojczyźnie naszej zaczynają się dziać rzeczy okropne! Trzeba działać! Najwyższy czas. Na co pan jeszcze czeka?

Minister odpowiada najspokojniej:

— Na sałatę.

*

W „suchej Ameryce” kwitnie proceder zdobywania alkoholu „dla celów leczniczych”. Stęskniony za whisky pacjent prosi lekarza o przepisanie mu odpowiedniej ilości tej ambrozji.

Lekarz — Nie mogę, proszę pana, w żaden sposób nie mogę, zanim się nie przekonam, że whisky jest panu doprawdy potrzebna. Jakie są objawy pańskiej choroby?

Pacjent (poufnie) — A jakie by mi pan doktor poradził?

*



Po dłuższym pobycie w Stanach Zjednoczonych Cyperman postanowił przyjąć obywatelstwo amerykańskie. Jest to dość uciążliwa procedura. Trzeba m. in. zdać mały egzamin z dziejów Ameryki.

— Kto jest prezydentem Stanów?

— Mr. Coolidge.

— Jakie miasto jest naszą stolicą?

— Waszyngton.

— Czy pan mógłby zostać prezydentem Stanów?

— Nie.

— Dlaczego?

— A ktoby w sklepie siedział?

*

Przed sądem stoi szofer, oskarżony o prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym. Świadkiem jest policjant, który go aresztował.

— Panie sędzio! Kiedy nadbiegłem, zastałem auto na trotuarze, szofer zaś stał obok i w najwyższym zdenerwowaniu rozmawiał z naczelnikiem ruchu kołowego, zarzucając mu zły stan bruków.

— Taka rozmowa nie jest jeszcze dowodem, że oskarżony był pijany—odpowiada sędzia.

— Jest dowodem, panie sędzio! Przecież to wcale nie był naczelnik ruchu kołowego.

*

Znany humorysta niemiecki Roda Roda opowiada:

— Po ostatnio uczynionej próbie nikt już nie będzie wątpił o mej niezwykłej odwadze. Założyłem się, że sam jeden dam się zamknąć na pół godziny do klatki lwa. Tak się też stało. Co tam robiłem? Paliłem najspokojniej papierosa. Dozorca? Stał nazewnątrz klatki, przyglądając mi się zdumiony. A lew? Jaki lew? Lew nie było. Powiedziałem przecież, że sam jeden dam się zamknąć.

*

Trzej Anglicy siedzą na balkonie willi podmiejskiej. Od godziny żaden nie odezwał się słowem. Droga przejeżdża samochód.

— „Fiat” — mówi pierwszy Anglik.

— „Corona” — protestuje drugi.

Pół godziny milczenia.

— Jeżeli panowie nie przestaną się kłócić, będę zmuszony opuścić towarzystwo — mówi trzeci.

*

Wywiad z wnukiem Forda w r. 1950:

— Więc to pan jest wnukiem amerykańskiego króla samochodów?

— Tak jest, ja jestem tym słynnym, małym tannim kieszonkowym składanym fordzikiem.

— Co kosztuje teraz takie auto?

— Jeżeli się kto zgodzi wziąć jedno w prezencie, otrzymuje drugie bezpłatnie.

— Jak pan spędził dzieciństwo?

— Urodziłem się w samochodzie wyścigowym. Tamże urządzono mi kołyskę. Moją mamką był szofer. Ssałem benzynę. Byłem z tego powodu bardzo chudy. Nadęto mnie więc za pomocą pompy—i oto dziś jestem jak opona Continental Cord Ford.

— Jakie pan ma plany na przyszłość?

— Wobec tego, że w Ameryce będzie już wkrótce więcej samochodów, niż ludzi, mamy zamiar przenieść się na fabrykację nabywców.

— Jakto?

— Zwyczajnie.auta nasze nie będą już wkrótce miały odbiorców, zaczniemy więc fabrykować ludzi.

— Jak jest obliczona produkcja?

— Dzienna? Będziemy wyrabiać trzy tysiące ludzi na minutę.

— I co pan z nimi zrobi?

— Będę ich wychowywał na przyszłych wyrob-
ników oraz nabywców aut. Kierujemy się zasadą owe-
go króla francuskiego: „Pragnę, aby każdy nędzarz
miał w garnku auto”.

— I jak się to wszystko skończy?

— Nie wiem.

— Dziękuję panu.

*

— Jak może pan twierdzić, że z oskarżonym łą-
czy pana dalekie pokrewieństwo? Przecież to pański
brat!

— Ale daleki. Ja jestem najstarszy, a on siódmy.

*

Rozmowa w późną noc na ulicy:

— Dlaczego nie idziesz do domu?

— Nie mogę. Żona mnie wyrzuciła.

— Za co?

— Za to, że do domu nie wracam.

*

— Czy rozwój awjacji nie jest zdumiewający?
Człowiek jest już dziś jak ptak!

— Przesada! Pokaż mi lotnika, który stoi na
jednej nodze na gałęzi i przytem mocno śpi!

*

Spotkali się w knajpie, zaczęli sobie opowiadać,
co przeżyli, co cierpieli...

— Ja, proszę pana, myślałem wtedy, że tego nie
przeżyję. Czy pan uwierzy? Trzymałem już nabity re-
wolwer przy skroni... Ale co będę gadał? Widzę, że
to pana nie interesuje.

— Ależ przeciwnie! Jestem strasznie ciekaw, czy
pan wtedy wystrzelił, czy nie?

*

Pipman pragnie zasięgnąć informacji u Goldkopfa:

— Słuchaj, Goldkopf, jaka jest różnica między „nominalnie” i „efektywnie”?

— Hm, jakby ci to wytłumaczyć?.. Naprzykład jeżeli ja powiem do osła: „Pipman!”—to będzie nominalnie, a jeżeli do ciebie powiem: „Osioł!”—to będzie efektywnie.

*

Kilka dni temu zjawił się u mnie jakiś nieznanymi filantrop.

— Proszę pana — zaczął — chciałem pana prosić o pomoc dla pewnej biednej rodziny. Okropna nędza — serce się kraje. Ojciec dawno nie żyje, matka ciężko chora, nie może pracować, sześcioro dzieci nie ma co jeść, a najgorzej jest z mieszkaniem: biedna, schorowana kobieta nie płaci komornego od kilku miesięcy. Lada dzień nastąpi eksmisja. Niech pan pomyśli: chora wdowa z sześciorgiem małych dzieci znajdzie się na bruku! Potrzebna jest pomoc, szybka, radykalna pomoc! Trzeba koniecznie zapłacić za mieszkanie! Chodzi o 240 złotych. Możeby pan się przyczynił?..

Miałem łzy w oczach. Sięgnąłem do kieszeni...

— Naturalnie... z przyjemnością... ale czy mogę wiedzieć, kto pan jest?

Filantrop odrzekł poważnie:

— Ja jestem właścicielem domu, w którym ci biedacy mieszkają.

*

Agent asekuracyjny męczy Seidenkopfa już od dwóch godzin. Seidenkopf nie chce.

— Co mnie pan głowę zawracasz? Po co ja się potrzebuję zabezpieczać? Samochodu nie mam, a w razie tramwaj — to oni muszą płacić.

— Ale panie Seidenkopf, niech pan da mówić... Bierzmy wypadek, że pan upada na ulicy i łamie nogę.

Pan wiesz, co pan dostajesz? Trzy tysiące złotych pan dostajesz!

— No, a jak broń Boże złamię obie nogi?

— Obie nogi? Dziesięć tysięcy złotych!

— Co pan mówi? (Siedenkopf zapala się). A jak broń Boże wypadam z okna i łamię obie nogi, obie ręce i jeszcze kark?

— Nawet się pan nie pytaj! — krzyczy agent z entuzjazmem. Wtedy ma pan spokój na całe życie!

*

W armji rosyjskiej chłosta była dawniej karą bardzo rozpowszechnioną. Szeregowiec Rabinowicz skazany został kiedyś na 25 batów. Kiedy nadeszła chwila egzekucji Rabinowicz spostrzega, że osobnikiem, który ma wymierzyć mu tę karę jest rodak jego Wasserstein. Bierze go więc na stronę i mówi:

— Słuchaj, Wasserstein, dostaniesz sto rubli, jeżeli mnie będziesz bił łagodnie. Udawaj, że bijesz mocno, a jak już pałka będzie miała spaść, zrób tak, żeby nie bolało.

— Mogę. Ale daj 300 rubli.

— Wasserstein! Jak ty możesz żądać takiej sumy? Bądź człowiekiem! Weź 150 rubli!

— Ani grosza nie ustąpię.

Co było robić? Rabinowicz zgodził się. Leży — a Wasserstein bije. Biję rzeczywiście bardzo względnie. Już osiemnaste uderzenie, a Rabinowicz nic nie czuje... 19... 20... 21... 22... 23... 24 — Rabinowicza nic a nic nie boli. Ale ostatnie, dwudzieste piąte uderzenie było potworne. Wasserstein grzmotnął go pałką tak mocno, że Rabinowicz przez kilka minut nie mógł się ruszyć. Wreszcie wstaje i mówi:

— Wasserstein, co to za świństwo? Co to znaczy? Wziąłeś 300 rubli i tak strasznie mnie uderzyłeś?

— Przepraszam. Ja chciałem ci tylko pokazać jaki świetny interes ty ze mną zrobiłeś.

*

— Co uczynił samobójca, kiedy go pan wy-
ciągnął z wody?

— W tej samej chwili wyrwał mi się z mych rąk,
wskoczył na drzewo i powiesił się.

— Dlaczego pan go natychmiast nie zdjął z drzewa?

— Myślałem, że się powiesił, aby wyschnąć...

*

...Panna bardzo sympatyczna, ale tak zezuje, że
kiedy płacze, to jej łzy z za uszu ściekają...

*

✕ Roztargniony dyrektor banku pocałował swą żo-
nę i rzekł:

— A teraz, proszę pani, piszemy dalej.

*

W jednym z miast „suchej” Ameryki.

Przyjezdny — Czy nie mógłby mi pan po-
wiedzieć, gdzie dostanę kieliszek dobrej wódki?

Miejscowy — Widzi pan ten kościół?!

Przyjezdny — Co?! W kościele?.

Miejscowy — Tak jest. To jedyny budynek,
w którym pan nie dostanie wódki.

*

Do urzędu telegraficznego wpada zdyszany jego-
mość i mówi do urzędnika:

— Proszę pana, kwadrans temu wysłałem de-
peszę, a teraz chcę zmienić jedno słowo...

— Czy to ta depesza: „Hela szczęśliwie powiła
syna”?

— Tak jest. Pan będzie łaskaw zmienić „syna”
na „dwóch synów”.

— No to dziękuję panu. I dowidzenia.

— Zaraz, niech pan posłucha. Należy się 10 groszy za dodane słowo... i wogóle... możebyśmy jeszcze poczekali?

*

Lewenstein ma wspaniałe auto. Niedawno sprowadził do tej maszyny jakiś niebywały hamulec. Pełen dumy, zaprasza przyjaciela swego, Feingolda, aby się z nim przejechał w celu wypróbowania hamulca.

— Feingold, siadaj! Będziemy jechać z szybkością 80 kilometrów na godzinę, a zobaczysz, że auto zatrzyma się bez najmniejszego wstrząśnięcia. Widzisz tę gazetę, co tam leży na drodze?

— Jak będziemy o metr od niej, zatrzymam rozpędzony samochód, a ty nawet nie poczujesz.

Samochód pędzi jak szalony. Na odległości jednego metra od gazety Lewenstein hamuje maszynę, która zatrzymuje się jak wryta. Feingold jest zachwycony:

— Cudowne! Bajeczne!

Lewenstein promienieje z radości.

— Teraz drugi eksperyment. Widzisz ten tor kolejowy. Akurat nadjeżdża express. Puścimy maszynę na szybkość stu kilometrów, dojedziemy do samych szyn i na pięć centymetrów od nich zatrzymamy się.

Feingold chciał zaprotestować, ale nie było już czasu. Maszyna pędzi; zdaje się, że lada chwila wpadnie pod pociąg, ale hamulec Lewensteina dokazuje cudów. Auto zatrzymuje się na pięć centymetrów od szyn.

— No i co powiesz?

Feingold jest błąd jak trup.

— Nic nie powiem. Tylko błagam cię, wracajmy no prędko do tej gazety!

*

— Jak się masz, Felciu! Co ty tu robisz?

— Jestem w podróży poślubnej!

— A gdzie żona?

— Została z dziećmi w domu.

W jednej z warszawskich hurtowni skór istnieje zwyczaj, że czeladnicy firm, kupujących tam skóry przychodzą 1 stycznia „winszować” i otrzymują za to parę groszy.

Jeden z takich gratulantów wydał się właścicielowi hurtowni podejrzany. Pyta się go więc:

— A pan z jakiej firmy?

Na co otrzymuje odpowiedź:

— Pan mnie nie zna? Ja tu z przeciwnika jestem, ze składu węgla, cały rok u pana wózek pożyczam.

*

— Przepłynąłem La Manche i po wyjściu na brzeg zaśpiewałem arję z „Pajaców”.

— To jeszcze nic. Widziałem człowieka, który przepłynął ocean i po przebyciu uciążliwej drogi zaśpiewał całą uwerturę z „Aidy”.

— Widziałeś go?

— Naturalnie!

— I nie poznałeś mnie?!

*

Kiedy Marja Antonina została królową Francji, przydzielono do jej osoby panią de Bailles—w charakterze mistrzyni ceremonji. Młodziutka królowa drżała przed swą „chodzącą galanterją”, jak nazywała panią de Bailles, gdyż była to osoba arcyepedantyczna w sprawach etykiety. Kiedyś Marja Antonina dosiadła osiołka i jeździła na nim po parku zamkowym. Nagle nieuprzejme zwierzę zrzuciło amazonkę z siodła. Królowa leży na trawniku i woła:

— Prędeż, sprowadźcie mi panią de Bailles, gdyż nie wiem, co przepisuje etykieta dworska, kiedy osioł zrzuci królowę!

*

X W pralni chemicznej awantura. Wściekły klient krzyczy:

— Niech pan patrzy jak to teraz wygląda!

Właściciel: Nie rozumiem, o co panu chodzi? Ta koroneczka ślicznie wyszła...

Klient: Koroneczka?! Koroneczka?! To był atlas!!

*

Na żądanie p. L. z łoży Nr 3, wyproszono niedawno z łoży sąsiedniej panią W., która głośno prowadzoną rozmową przeszkadzała podczas „Otel-la”. Pani L. rozwiązywała w łoży krzyżówkę.

*

Podśluchana rozmowa dwóch aktorów:

— Powiadam ci, ludzie dziś w Radomiu pękają ze śmiechu!

— Dlaczego?

— Miałem tam tydzień temu wieczór śmiechu.

*

✓ Lekarz odwiedza chorego robotnika.

— Apetyt pan ma?

— Owszem, może pan doktor co przyniósł?

*

Właściciel mieszkania: Mogę panu wynająć ten pokój, ale uprzedzam: musi być cicho.

Wynajmujący: Jestem bardzo spokojny, proszę pana...

— Żadnych wizyt, żadnych gramofonów żeby mi nie było!

— Obiecuję!

— Do domu niech pan późno nie wraca, bo podłoga trzeszczy!

— Dobrze, proszę pana!
— Chrapie pan? bo przez ścianę słyhać!
— Nie chrapię, śpię zupełnie cicho.
— No to w porządku. Mogę panu ten pokój wynająć.

— Ale, jako człowiek lojalny, chciałem uprzedzić co do jednej rzeczy: mam pióro samopiszzące, które troszeczkę skrzypi.

*

Rozmowa dwóch dyrektorów teatrów warszawskich:

— Jak tam u was wczoraj było?
— Sześć.
— Tysięcy?
— Nie. Osób.

*

Marzyciele, którym się zdaje, że uda im się jakakolwiek agitacja wywrotowa na Pomorzu, niech posłuchają następującej autentycznej historyjki:

Mieszkałem przez kilka dni w P., małem miasteczku pomorskiem. Kiedyś o szóstej rano ktoś puka do drzwi. Otwieram—listonosz.

— Panie, dlaczego tak wcześnie?

— A bo to, proszę pana, strajkujemy dziś, więc sobie pomyślałem, że do ósmej zdążę listy roznieść!

*

W księgarni:

— Proszę o książkę doktora Szulca: „Jak utyc”?

— Cały nakład wyczerpany. Ale radzę wziąć dziełko doktora Millera: „Jak schudnąć?” — i robić wszystko naodwrot.

*

Rzecz dzieje się na balu. Mąż do mocno wydekoltowanej małżonki:

— Przeziębisz się przecie! Idź do domu, ubierz się i połóż do łóżka!

*

Kon i Pipman przechadzają się po Marszałkowskiej. Nagle — krzyk, zamieszanie. Jakiś chłopak złapał z koszyka przekupki kilka śliwek i w nogi. Oburzony Kon chce gonić złodzieja. Pipman chwytą go za rękę.

— Daj spokój! My także byliśmy kiedyś młodzi.

*

W ubiegłym miesiącu pewien biograf Goethego dowiedział się, że w miasteczku Mommenheim w Alzacji mieszka jakaś staruszka, która znała jeszcze Fryderykę von Sesenheim, do której wielki poeta zalecał się ongi.

Goetheolog odszukał starowinę i prosił, aby mu opowiadała wszystko, co wie o Fryderyce.

— Ano, dobra była dziewczyna, ładna, wszyscy ją bardzo lubili...

— A Goethe?

— Goethe? A tak, był taki, chodził do niej. Myśleliśmy, że się pobiorą. Ale kiedyś wyjechał i od tego czasu nikt w naszym miasteczku nie wie, co się z tym chłopcem stało...

*

Znakomity kompozytor włoski Mascagni był w Warszawie i nawet jechał tramwajem. Przygląda mu się tam długo jakiś jegomość i wreszcie woła:

— Pan Mascagni?

— Tak jest, odpowiada maestro.

— Jaki świat jest mały! Moja córka także gra na pianinie!

*

Fabrykant łódzki Cyperson odwiedza swego stałego klienta Fajtłowicza w Zawierciu. Fajtłowicz płaci bardzo kiepsko. Całe miesiące trzeba czekać na uregulowanie rachunku, jest on Cypersonowi winien moc pieniędzy, ale Cyperson ma ostatecznie zaufanie do swego klienta i kredytuje mu w dalszym ciągu.

— Bardzo mi przykro, kochany panie Cyperson, mówi Fajtłowicz, ale tym razem nic u pana nie kupię. W zeszłym tygodniu był u mnie pański konkurent Rosenstein i u niego kupiłem dużą partję materiału. Bardzo tanio, za gotówkę.

Cyperson aż się zatrzęsł z oburzenia:

— To tak? U Rosensteina kupuje pan za gotówkę, a mnie jest pan pół roku winien pieniądze? Dlaczego pan u mnie nie kupuje za gotówkę?

— Co pan ma do mnie pretensję? — woła Fajtłowicz. — Skąd ja mogłem wiedzieć, że pan dostarcza towar także za gotówkę?

*

— Cygaro, które mi pan sprzedał, jest straszne!

— Mogłby się pan nie skarżyć! Pan ma tylko jedno, a co ja mam powiedzieć? Sześć tysięcy tego świństwa na składzie leży!

*

Siedziałem z Frankiem na tarasie wspaniałego hotelu w R... Rozmowa zeszła na temat filozoficzny. Zaczęliśmy rozprawiać o używaniu słów obcego pochodzenia, o ich znaczeniu i t. p. Franek twierdził, że większość ludzi nie rozumie istotnego sensu słów obcych. Aby w praktyce potwierdzić słuszność swej teorii, Franek wymyślił na miejscu słowo „reponsować” i... zawołał kelnera.

— Proszę pana, chcielibyśmy zreponsować.

Kelner wyciągnął z kieszeni blok i zaczął liczyć: „Dwie kawy, dwa koniaki, tort, syfon wody, razem dziesięć trzydzieści”.

Potem poszliśmy do baru.

— Piccolo! gdzie tu można reponsować?

— Toalety w końcu korytarza na lewo, proszę szanownego pana.

Z baru udaliśmy się do restauracji. Jedzenie było wyborne, trunki wyśmienite. Franek był w cudownym humorze. Zawołał kelnerkę i zapytał z uśmiechem:

— Panienko, czy mógłbym z panią poreponsować?

Dziewczyna zarumieniła się z oburzenia i odrzekła:

— Co pan sobie myśli? Ja jestem porządna dziewczyna!

Potem przesiedliśmy się do znajomego towarzystwa, Franek dużo pił i mnóstwo gadał: o tem, że Gertruda Ederle przepłynęła La Manche tylko dlatego, że miała znakomitego reponsatora: że parlament stanowczo musi uchwalić reponsorium: że Mussolini odpowie energicznie na ostatnią reponsację Francji etc. I wszyscy Francuzi potakiwali.

Późną nocą poszedłem do domu. Franek został jeszcze w knajpie. Był zupełnie pijany. Nazajutrz dowiedziałem się, że urządził w lokalu awanturę i policja musiała go zreponsować.

*

We wszystkich miastach polskich wprowadzono obecnie kary doraźne za zanieczyszczanie ulic. Kary te ściągają policja.

Pan Lebensos przyjechał z Kutna do Warszawy i ledwo wysiadł z wagonu już musiał płacić! Rzucił niedopałek papierosa na peron, policjant spostrzegł to i Lebensos zapłacił 3 złote. „Trzeba przyznać, myśleli sobie Lebensos, porządek jest!” Stanął na boku i zaczął obserwować, czy jeszcze kto naśmiec i za-

płaci. W ciągu pół godziny policjant ukarał kilkanaście osób, inkasując ogółem około 50 złotych.

Lebensos opuszcza swój punkt obserwacyjny i podchodzi do policjanta.

— Panie naczelniku! Może mi pan odda przedstawicielstwo tego artykułu na całą Warszawę?

*

— Tatusiu, czy Bóg wszystko może?

— Wszystko.

— Wszyściuteńko co tylko chce?

— Tak, synku.

— A czy może stworzyć taki ogromny kamień, którego sam nie mógłby unieść?

*

Podczas swego pobytu na Śląsku, dowiedział się Fryderyk Wielki o pewnym pastorze, który potrafi wywoływać duchy. Zaciekawiony tym faktem, kazał sobie sprowadzić spirytystę.

— Słyszałem, że umie wywoływać duchy, hę?

— Tak jest, wasza królewska mości. Umiem.

— No i co?

— Nic. Nie przychodzą.

*

Pisarzem kancelaryjnym jednego z pułków kawalerji jest 64-letni sierżant Konewka. (Wstąpił do legjonów, mając lat 51). Konewka sypia w małym pokoiku tuż przy kancelarji pułku — siódmy rok na tem samem miejscu. W tych dniach kancelarję przeniesiono na pierwsze piętro. Kazano przenieść się i Konewce. Skrzywił się i zaklął:

— Psiakrew! Cygańskie życie!

*

Pastor odwiedza wdowca, który zaledwie tydzień temu stracił żonę. Wdowiec pociąga z butelki. Pastor jest oburzony:

— I ta butelka koniaku jest twoją jedyną pociechą?

— Nie, panie pastorze. Mam jeszcze dwie w szafie.

*

Komisarze przyjechali na wieś kupować żywność. Płacą nowiutkimi srebrnymi pieniędzmi. Chłopi otoczyli komisarzów, baby zaczęły się żegnać znakiem krzyża.

— Czego się żegnacie? Pieniądz przecie nie jest święty.

— Pieniądz sowiecki, wiadomo, ale srebro cerkiewne.

*

— Morycek, przestań ciągnąć kota za ogon!

— Kto ciągnie? Ja ciągnę? On ciągnie! Ja się tylko trzymam!

*

...Proszę paniusi kochanej, mój Feluś to od małości zwierzęta lubi. Myślę, że jak dorośnie, to go do rzeźnika na praktykę oddam...

*

Od czasu, kiedy generał L. przeszedł na emeryturę, rozkoszuje się on życiem w sposób wyrafinowany. Jeżeli noc jest słotna i deszcz leje strumieniami, ordynans budzi go o 4 rano, wrzeszcząc:

— Panie generale, dowódca korpusu wzywa pana natychmiast do siebie!

Wtedy generał L. podnosi głowę, spogląda w okno i odpowiada z szatańskim śmiechem:

— Ha—ha—ha! Co? Dowódca korpusu mnie wzywa? Mnie? Generała L., który jest już na emeryturze i któremu nikt nie ma prawa rozkazywać?! W taką pluchę? O czwartej rano? Powiedz panu dowódcy, żeby mnie...

Co powiedziawszy, generał L. zasypia słodko po raz drugi i śpi do południa.

*

Pewien bardzo brzydki pan zaręczał i oburzał się, gdy mu nie wierzano, iż był tak pięknym dzieckiem, że cyganie go zamienili.

*

Stary karciarz leży śmiertelnie chory. Jego żona wzdycha:

— Ach! ileż czasu zmarnowałeś niepotrzebnie przy kartach.

—O, tak!—charczy umierający—na tasowanie!

*

X Słupciński wsiada w Krakowie do nocnego pociągu, jadącego do Warszawy. Woła konduktora i mówi:

— Proszę pana, niech mnie pan koniecznie w Piotrkowie obudzi, a gdybym nie chciał wstać, bo sen mam mocny, niech mnie pan poprostu wyrzuci z wagonu. Proszę, pan będzie łaskaw przyjąć 5 złotych za fatygę.

Nad ranem Słupciński budzi się i ze zgrozą spostrzega, że jest w Koluśkach. Biegnie wściekły do konduktora i zaczyna strasznie wymyślać:

— To skandal, panie! Dałem panu pięć złotych, żeby mnie pan w Piotrkowie obudził, a tu już Koluśki! Co to za świństwo, tak zapominać o przyrzeczeniu! Nicpoń pan jest, panie! Łobuz!

Scenie tej przysłuchuje się inny konduktor i mówi do kolegi:

— No wiesz, za pięć złotych nie pozwoliłbym tak sobie nawymyślać.

Na to winowajca z westchnieniem:

— Człowieku, to się nazywa wymyślanie? Trzeba ci było słyszeć, jak kłął ten facet, którego w Piotrkowie wyrzuciłem!

ZNAJĄ GOŚCIA.

W knajpie przy stoliku siedzą dwaj panowie. Do jednego z nich zbliża się kelner i szepce mu na ucho.

— Proszę pana, wielka prośba! Może pan ze chce łaskawie jakoś oględnie zawiadomić pana Szczypkowskiego, że wątróbki już niema...

*

Pan Rosenstengel jest już od wielu lat chrzczoney i spolszczony. Pytał go ktoś niedawno, czy nie pamięta nic z języka żydowskiego, którym mówił w dzieciństwie.

— Wie pan, tylko dwa słowa zostały mi w pamięci: chucpa i melancholja.

*

Lord Byron miał w Wenecji w roku 1818 kochankę — szesnastoletnią Teresę Gamba. Miała ona potem dwóch mężów. Ten drugi, przedstawiając ją, mówił zwykle dumnie:

— Moja małżonka, markiza B..., niegdyś kochanka lorda Byrona.

*

Ludzie nauki nie cofają się przed niczem. Rekord wytrzymałości i cierpliwości osiągnął niedawno

pewien młody docent biologji: udało mu się zaszczepić węgorzom wodowstręt! Zapytano go:

— Jaki to preparat, panie profesorze?

— Jest to kwas Chloronitrodiesylendiaminowy.

— A jak pan zdobywa ten niesłychany kwas?

— W bardzo prosty sposób: z nerek komarów, które uprzednio doprowadzam do stanu epileptycznego.

*

Znany z roztargnienia profesor uniwersytetu warszawskiego C. jedzie tramwajem do swego przyjaciela. Po drodze zaczyna padać ulewny deszcz. Profesor zapomniał oczywiście zabrać z domu parasol. Gdy trzeba było wysiadać z tramwaju, profesor C. chwytą przez roztargnienie parasol obok siedzącej starszej damy—i chce z nią wyjść. Dama w krzyk, profesor przeprosza, zwraca jej parasol. Potem idzie do przyjaciela. Kiedy miał wychodzić, deszcz lał jeszcze jak z cebra. Przyjaciel pożyczą profesorowi swój parasol, pod warunkiem, że jutro dostanie go z powrotem.

Nazajutrz profesor C. wybiera się w drogę, aby odnieść parasol przyjacielowi. Tym razem jest przeczorny i zabiera także swój. Znow siada do tramwaju i przypadek sprawia, że znow siedzi obok tej samej damy. Ta spogląda na dwa parasole profesora C. i mówi dyskretnie i ironicznie:

— No, dobry miał pan dzisiaj dzionek! Aż dwa!

*

Bieleńska, w sobotę przed wieczorem:

— Micia, przeczytaliście tego Dostojewskiego?

— Kończę.

— I jak wam się podoba?

— Słodki.

*

— Co? W New-Yorku panu za dużo kurzu na ulicach? Do Chicago chce się pan przenieść? A czy pan wie, jaką ja w Chicago miałem przygodę z kurzem? Widzę, że na środku najruchliwszej ulicy, leży cylinder. Kopię go nogą, patrzę—łysina. Odgrzebuję—głowa sterczy.

— Co jest?

— Nic — odpowiada głowa — zasypało mnie kurzem.

— Ładne porządki—mówię.

— To jeszcze nic—odpowiada zasypywany — przecież ja stoję na dachu autobusu!

*

Państwo Rosenbauch z Włocławka wybrali się do Paryża. Chodzą po ulicach i szukają Louvre'u.

— Znasz przecież francuski, zapytaj się policjanta—mówi Rosenbauch.

Pani Rosenbauchowa podchodzi do policjanta i zaczyna rozmowę:

— Pardon, monsieur, parlez vous français?

*

Pociąg odchodzi za pięć minut. Państwo S. pędzą autem na dworzec. Nagle pani S. przypomina sobie z przerażeniem, że zapomniała zgasić maszynkę spirytusową. Mieszkanie jest puste, służba odprawiona. Kto wie, czy się tam już nie pali wszystko?! Wracać!

Ale pociąg odchodzi za parę minut. Państwo S. jadą w bardzo ważnej terminowej sprawie. Nie wolno im się spóźnić na kolej.

— Uspokój się! — woła mąż. — Wszystko w porządku. W tej chwili sobie przypomniałem, że na szczęście zapomniałem zakręcić kran w łazience!

*

Mark Twain był chory. Lekarze zalecili mu ścisłą dietę. Apetyt jednak dawał mu się we znaki. Pielęgniarka dała mu łyżeczkę mleka.

— To za mało.

— Więcej nie wolno, mr. Twain.

— Ano trudno. Teraz chciałbym coś przeczytać. Może mi pani przyniesie markę pocztową?

*

Rzecz dzieje się na kolejce Warszawa—Konstancin, znanej z żółwiego tempa.

Konduktor sprawdza bilety. Jakiś brodaty jegość podaje mu bilet dziecinny.

Konduktor: Co to znaczy? To przecież bilet dziecinny!

Pasażer: Panie konduktorze, kiedy wsiadałem był jeszcze ważny.

*

Jak wiadomo, złote monety znikły z obiegu zaraz na początku wojny. Rząd rosyjski starał się wszelkimi sposobami zdobyć jaknajwiększą ilość tego drogiego kruszcu.

Na jednej ze stacji kolejowych stał przed kasą długi „ogonek” niecierpliwych pasażerów. Każdy marzył o chwili, kiedy z biletem w ręku wsiądzie do wagonu. Podróż w owym czasie była torturą.

Nad kasą wisi napis: „Kto płaci złotem, otrzymuje bilet natychmiast poza kolejką“.

Amatorów nie brakowało. Złoto zaś zdobyć było można w sposób bardzo prosty. Kasjer dawał swemu synkowi złotą pięciorublowkę i posyłał go do „ogonka”. Synek sprzedawał złote pięć rubli za osiem srebrnych. Gdy złota moneta dochodziła do rąk kasjera, dawał on ją znowu synkowi. Synek znów dostawał osiem rubli... i tak dalej, ad infinitum.

W ten sposób wszyscy byli zadowoleni: rząd zdobywał złotą pięciorublówkę, publiczność bilety, a kasjer dużo rubli srebrnych.

*

Siadł przy stoliku z rozkosznym poczuciem wzbranego apetytu. Była w tem zdrowa żądza gryzienia soczystego, smażonego mięsa. Oblizał się i postanowił: „Befszytk”. Zawołał kelnera.

— Proszę pana, chciałbym dostać befszytk.

— Służę panu...

— Niech pan czeka. Powie pan kucharzowi, żeby wykrajał kawałek świeżej, czerwonej polędwicy... tak na 2 palce grubości...

— Wiadomo, naturalnie...

— Zaraz! niech pan słucha... Jak wykraje, niech ubije... na płasko... i nożem niech podźga... cytrynkę pokroi i pieprzem posypie... dopiero potem smażyć...

— Słucham, już się robi...

— Niechże się pan tak nie spieszy! Dużo masła na patelnię... żeby się zarumieniło... razem z drobno posiekaną cebulką... Kiedy zacznie syczeć i pryskać— rzucić mięso i dźgać, dźgać, żeby całe masłem przeszło... Do tego kartofelki...

— Tak jest... Wiem, proszę pana...

— Nic pan nie wie! Kartofelki w drobne płatki i razem z befsztykiem smażyć... Kabul macie?

— Zaraz podam...

— Podam! podam! O to właśnie chodzi, żeby podczas smażenia powolutku, po parę kropel cykać. A najważniejsza rzecz: uważać, żeby nie przesmażyć. Trochę krwi musi polędwiczka puścić i razem z gorącym tłuszczem kipieć...

— Według życzenia... już idę...

— To nie wszystko. Kiedy kartofelki będą brunatne, a befsztyczek jasno-bronzowy, wszystko razem

z patelni na gorący talerz, wysmarowawszy przedtem masłem. A na befsztyczek dużo tartego chrzanu. Zrozumiał pan?

— Tak jest, proszę pana.

Kelner idzie do kuchni i woła:

— Befszyk rrraz!

*

Artystka kabaretowa minorum gentium wypełnia w hotelu prowincjonalnym formularz meldunkowy:

Imię i nazwisko: Hela Pietrzak.

Zawód: Artystka.

Data urodzenia: 10.XI 1900.

Miejsce urodzenia: Łódź.

Stosunek do wojskowości: Tak!

*

Mój brak pamięci spletał mi w tym tygodniu złośliwego figla. Śród starych papierów znajduję notatkę z nazwiskiem i adresem jakiegoś nieznanego mi zupełnie człowieka. Jestem systematyczny, lubię mieć wszystko załatwione, piszę więc do nieznanego z zapytaniem, czego sobie życzy i co mógłbym dla niego uczynić. Otrzymuję odpowiedź, że uczyniłem wszystko, co mogłem. Okazuje się, że to pierwszy mąż mojej żony.

*

Na platformie tramwaju stoi, a właściwie chwieje się jegomość z błędnym wzrokiem i bardzo niezdecydowanymi ruchami. Słowem: pijaniusieńki. Wywiązuje się rozmowa z konduktorem:

— Panie, czy pan widział, jak ja wchodziłem do tramwaju?

— Widziałem.

— A pan mnie zna?

— Nie.

— No to... skąd pan wie, że to ja?

*

Pana Feinbluma spotykam w komisarjacie rządu.
— Dzieńdobry panu, panie Feinblum. Co pan tu robi?

— Chciałem dostać pozwolenie na pochód przez miasto.

— Co? Manifestację pan urządza?

— Nie. Obiecałem dzieciom, że pójde z nimi do kina.

*

Gwiazda paryskich music-hallów, Mistinguette, przywozła z tournée po Ameryce dwa miliony franków i zabawną anegdotę.

— Pewnego razu — opowiada artystka — zgłosił się do mnie jakiś elegancki pan i zapronował mi kupno znakomitej whisky. W „suchej” Ameryce jest to oferta nie do pogardzenia, tembardziej, że często urządzałam przyjęcia. Zamówiłam sto butelek. Słyszac jednak, że w Ameryce fałszują obecnie często napoje alkoholowe, oddałam połowę jednej butelki whisky do analizy chemicznej. Po dwóch dniach otrzymuję z laboratorium rezultat badania: „Madame, koń szanownej pani cierpi na chorobę cukrową”.

*

Jak na klasę wstępną, było to zadanie arytmetyczne dość trudne: podzielić 6 jabłek pomiędzy pięć osób. Malcy wyteżają myśli i liczą. Jeden tylko Hippek Golekopf nie zadaje sobie zbytniego trudu i odrazu pisze rozwiązanie, zaczynające się od słów:

„Robimy kompot i następnie...”

*

Podczas targów wschodnich we Lwowie odbył się bankiet na cześć prasy miejscowej. Koło znanego satyryka lwowskiego Raorta siedział jakiś szlagon

z pod Worochty, pijany do nieprzytomności. Zaczyna się wznoszenie toastów. Szlagon pije do swego sąsiada i bełgoce:

— Zdrowie literatury! Ale żeby biskup chodził w cywilu—nie rozumiem...

Nikt z obecnych także nie rozumiał, o co chodzi.

Dopiero po długich poszukiwaniach udało się rozwikłać zagadkę splątanych skojarzeń myślowych pijanego jegomościa, a mianowicie: Raort pomieszał mu się z Orotem. Orot pisał o „Starem Mieście”. Stare Miasto wywołało myśl o „Starej Baśni” Kraszewskiego, którego pijany znów pomieszał z Krasickim, biskupem warmińskim.

*

Młody Rozenblum jest krótkowidzem. Krótkowidzem tak zaawansowanym, że już prawie nic nie widzi. Mimo to nie zrezygnował z chęci posiadania uroczej panny Róży. Panna Róża zaś odznacza się niesłychaną korpulencją.

Pewnego dnia brat zaprowadził Roezenbluma do rodziny p. Róży; młodzi mają się bliżej poznać. Ale biedny kandydat na męża nie może przecież zobaczyć swej wybranej. Otrzymuje więc zezwolenie na korzystanie ze zmysłu dotyku, aby przekonać się o walorach swej przyszłej małżonki. Drżącymi dłońmi błądzi Rozenblum po obfitych kształtach — i kiedy w żaden sposób nie może doszukać się kresu wspaniałej kibici, woła w najwyższym zachwycie:

— Boże! Czy to jeszcze wszystko panna Róża?!

*

Zgodziła się do nas nowa służąca.

— Gdzie Mania była przedtem?

— U państwa Łypkiewicz.

— A dlaczego Mania stamtąd odeszła?

— A, proszę pana, bo to było tak: była w domu papuga i zachorowała. Pani zawołała specjalistę ptasznika, powiedział, że ptak nie wyżyje. I doprawdy—papuga zdechła. To ją pani kazała potem ugotować. Bardzo niedobre jest papuzie mięso. Potem kupiła sobie pani Łypkiewicz małpkę. Małpka też zachorowała. Przyszedł weterynarz, powiedział, że nie wyżyje. I rzeczywiście małpka zdechła. To ją pani kazała potem ugotować. I jedliśmy to. Bardzo niesmaczne było. Potem to przyjechała do nas w goście stara ciocia pana Łypkiewicza. I zachorowała. Przyszedł doktor, powiedział, że staruszka nie wyżyje... Jak to usłyszałam, spakowałam rzeczy i uciekłam.

*

487 urzędników pracuje w banku, którego Mr. Pearkings jest dyrektorem, a wszyscy go nienawidzą. Przechodząc ulicami Chicago, Mr. Pearkings wpada pod samochód—ale w ostatniej chwili ktoś go uratował.

— Kto pan jest?—pyta Pearkings.

— Jestem urzędnikiem w pańskim banku.

— Chcę pana wynagrodzić za uratowanie mi życia. Co mam dla pana zrobić?

— Mr. Pearkings! Jedną mam tylko prośbę: niech pan nie opowiada w banku, że to ja pana uratowałem.

*

Podczas lekcji gimnastyki oddechowej.

— Głębiej oddychać, głębiej. I nie ustami a nosem!

— Przecież nos jest wyżej!..

*

Kupiec łódzki, pan Cyperson, postanowił, że tak dalej być nie może. Interesów żadnych się nie robi, nic się nie zarabia, stagnacja na całej linii, słowem—jest źle. Aby nie było jeszcze gorzej, Cyperson jedzie

do Warszawy i postanawia za wszelką cenę zrobić jakąś transakcję.

W Warszawie odwiedza Cyperson skład p. Goldbaucha. A że w stolicy ruch w branży manufakturowej także nie kwitnie, Goldbauch przyjmuje Cypersona z honorami. Nareszcie zjawił się klient! I jaki klient! Cyperson chce kupić materiałów za 50 tysięcy złotych. Ale sęk w tem, że gotówką nie da ani grosza. Prosi o kredyt trzymiesięczny.

— Dobrze, szanowny panie Cyperson — mówi Goldbauch — niech pan przyjdzie pojutrze, a ja tymczasem dowiem się, czy można panu udzielić takiego kredytu.

Cyperson zjawia się w oznaczonym terminie po odpowiedź. Goldbauch pieni się.

— Pańskie propozycje, panie Cyperson, to granda! To łobuzerja! Dowiedziałem się, że pan wogóle nigdy nikomu grosza nie płaci, że wszystkie pańskie weksle idą do protestu, że pan siedział w więzieniu za oszustwa, że pan grosza niema, że pan jest bankrut! I pan chce mieć u mnie kredyt? Kredyt na trzy miesiące?

Cyperson spokojnie:

— Co się pan rzuca? Niech będzie na miesiąc...

*

Amundsen jest z wizytą u pewnej rodziny norweskiej. Sigrid, dorastająca panienska, chciałaby zabić znakomitego gościa, z którym siedzi od kilku minut na uboczu. Ale nie wie biedaczka, czem go zainteresować. Wreszcie wpada na pomysł:

— Możeby pan obejrzał naszą lodownię?

*

Do rabina zwraca się rodzina zmarłego izraelity z prośbą o mowę pogrzebową.

- Wiele to będzie kosztować, rabi?
- Może być przemówienie za sto złotych, może być za pięćdziesiąt, może być nawet za dziesięć — ale tego za dziesięć ja sam państwu nie radzę.

*

Przed sądem w Arcanzas. Sędzia do oskarżonego:

- Jak się pan tutaj dostał?
- Żandarm mnie przyprowadził.
- W stanie nietrzeźwym?
- Obydwaj.
- Sześć dolarów albo dwa tygodnie aresztu.
- Dziękuję. Biorę dolary.

*

— Winszuję panu, panie Cytronenblum. Brat pański już wolny!

- Mój brat?
- Przecież siedział w więzieniu.
- Mój brat?!
- Cztery miesiące!
- Mój brat?!!
- Za fałszowanie weksli!
- Mój brat?!!! To ja!

*

Przed chwilą odbyła się w obecności siedmioletniej Mani gwałtowna kłótnia rodziców. Ojciec trzasnął drzwiami i wyszedł z pokoju. Mania została z matką.

- Mamusiu, jak dawno już jesteś zamężna?
- Osiem lat, kochanie.
- A jak długo jeszcze musisz?

*

— Czy pan Hopkins w domu?

— W domu. Ale nie na długo. Za godzinę pogrzeb pana Hopkinsa.

*

X Sędzia silnie zezujący, do pierwszego z trzech obecnych świadków:

— Jak się pan nazywa?

Na to drugi świadek:

— Teofil Bąk.

Sędzia do Bąka:

— Ja nie pana pytałem,

Na to trzeci świadek:

— A czy ja co mówię?

*

Siła hypnozy jest rzeczywiście niesłychana. W tych dniach siedzę w tramwaju naprzeciwko jakiejś strasznie niesympatycznej baby. Postanawiam zahypnotyzować ją. Zaczynam więc wpatrywać się w jej oczy, powtarzając w myślach: „Wysiądź! wysiądź! wysiądź”!

I w samej rzeczy — po kwadransie baba ta wysiadła z tramwaju!

*

Podczas przyjęć u lekarza pułkowego:

— Nie wstydzicie się, Goldwasser, z takim głupstwem do mnie przychodzić? Gdybyście byli w cywilu, napewnobyście do mnie z tem nie przylecieli.

— Naturalnie, że nie. Jabym wtedy pana pułkownika do siebie do domu zawołał!...

*

Z kroniki: „Podczas drugiego aktu za kulisami wybuchł pożar, który został szybko ugaszony. Wypa-

dek ten nie wywołał na szczęście paniki na widowni, Widz spokojnie wyszedł z sali“.

*

Słynny ze swej tuszy b. prezydent Stanów Zjednoczonych William Taft jest najbardziej uprzejmym człowiekiem w Ameryce. Siedząc kiedyś w tramwaju, zauważył, że trzy kobiety, nie mając miejsca, stoją. Gruby Taft wstał — i ustąpił wszystkim trzem swego miejsca.

*

Do zakładu fryzjerskiego wchodzi jakiś młodzieniec, i zwracając się do właściciela, poufnie szeptem mu na ucho:

— Czy jest tu jaki pracownik, któryby potrafił ostrzydz rudego?

*

Generał Mackensen dostał podczas wojny list następujący: „Panie generale! Powołując się na łaskawe zwycięstwo sz. pana z dnia 17 b. m., mam zaszczyt zapytać i t. d.

*

Kat do skazańca szeptem:

— Panie, niech mi pan nie weźmie za złe, jeżeli będzie jakiś feler w robocie! Ja dziś debiutuję! Pierwszy raz ścinam!

Skazaniec do kata łagodnie:

— Nie szkodzi, panie. Ale co za dziwny zbieg okoliczności! Ja także pierwszy raz jestem na gilotynie!

*

Sędzia: — Dlaczego pan twierdzi, że obydwaj oskarżeni są nienormalni?

Świadek: — Jakto, panie sędzio? Jeden z nich rozrzucał na ulicy banknoty, a drugi podnosił i oddawał mu!

*

Redaktor tygodnika „Ludzkość i wszechświat” śpi w lokalu redakcyjnym, który jest jednocześnie administracją pisma i sypialnią redaktora. Ktoś puka.

— Kto tam? — pyta redaktor „Ludzkości i wszechświata”.

— Prenumerator.

— Kłamstwo! Po głosiebym poznał!

*

Wydawca — No dobrze, panie, przypuśćmy, że panu dam tę zaliczkę... Ale niech pan pomyśli: suma jest duża, zawsze to 300 złotych, a co ja zrobię jak mi pan nagle umrze?

Literat (bijąc się w piersi, z patosem): Panie! biedny jestem, ale uczciwy!

*

Pinkus spotyka Rosenbauma na plaży sopockiej.

— Dzień dobry, panie Rosenbaum. Co to za wiadro pan niesie w ręku?

— Powiem panu prawdę. Jestem zupełnie zrujnowany i muszę zarabiać byle czem. No to teraz roznośzę wodę morską do hotelów i pensjonatów, żeby umożliwić morską kąpiel tym, co nie mogą z domu wychodzić. Dostaję dziesięć groszy za wiaderko.

Nazajutrz rano Pinkus przechadza się znowu nad morzem. Jest akurat odpływ. Pinkus staje — patrzy na morze i szepce:

— Bez uroku! Rosenbaum musiał sobie wczoraj nieźle zarobić!

*

Szczyt wytworności. Skazaniec do kata, który go prowadzi na szubienicę:

— Après vous.

*

Bandyta mierzy do kasjera z rewolweru i woła:
— Dawaj pieniądze!

Kasjer (flegmatycznie) — Woli pan grubsze czy drobniejsze banknoty?

*

Państwo Feigenblatt wyjeżdżali na kilka tygodni do Dalmacji. Riviera jest za droga, a w Dalmacji podobno i tanio i pięknie. Na dworcu był z nimi przyjaciel pana Feigenblatta — Kon. Nie obeszło się tam bez sprzeczki między małżonkami: mąż źle załatwił sprawę bagażu, żona zgubiła jakiś kluczyk, słowem — Feigenblattowie pokłócili się, zaczęły padać coraz ostrzejsze słowa, wynikła gruba awantura, wreszcie pociąg ruszył. Kon został pod wrażeniem tej kłótni pp. Feigenblatt. Po tygodniu Kon czyta w pismach: „Straszne trzęsienie ziemi w Dalmacji, olbrzymie straty, moc domów runęło, dużo ofiar w ludziach”. Potem przychodzi karta od Feigenblattów: „Kochany panie Kon! Co u pana słychać? U nas wszystko dobrze, jest tu bardzo pięknie. Z początku kłóciliśmy się trochę, ale teraz wszystko już w porządku”. Kon odpowiada listem: „Czytałem o tem w gazetach. Na przyszłość niech się to nie powtórzy. Mieście na względzie biedną ludność miejscową”.

*

Wujek interesuje się postępami w nauce swego małego siostrzeńca:

— A co przechodzicie z religji?

— Na jutro mamy skończyć Pana Boga.

*

Karol Rössler i Roda Roda napisali przed wojną wspólnie sztukę teatralną, której c.-k. cenzura austriacka nie chciała puścić. Obydwaj autorzy uzyskali audjencję u ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, aby zaprotestować przeciw decyzji cenzury. Minister przyjął ich bardzo uprzejmie, ale oświadczył stanowczo:

— Dopóki Austrija istnieje, sztuka nie będzie nigdzie wystawiona!

Roda Roda westchnął, spojrzął na Rösslera i rzekł:
Niema co Karol! Trzeba będzie poczekać te kilka tygodni!

Z LEKCJI HISTORJI.

„Istnienie króla asyryjskiego Chaszura jest wogóle bardzo wątpliwe. Wiemy natomiast z całą pewnością, że syn jego Elpur żył pomiędzy 830 i 780 rokiem”.

*

— Co to za człowiek ten Kolasiński?

— Jakby ci to wytłumaczyć... Jeżeli zobaczysz na ulicy dwóch panów, z których jeden będzie miał minę rozpaczliwie znudzoną, to ten drugi będzie Kolasińskim.

*

Jeden z najświetniejszych pisarzy naszych jest fanatykiem pracy. Kiedy siedzi nad rękopisem, świat może się walić, a wieszcz nie rusza się z miejsca.

Kilka dni temu do pokoju pisarza wchodzi przyjaciół jego, malarz i choleryk. Wieszcz pisze, nie odpowiada nawet na przywitanie. Malarz mówi po raz drugi:

— Dobry wieczór!

Wieszcz pisze. Malarz zaczyna się denerwować, krzyczy głośno, wali pięścią w stół. Pisarz ani drgnął i nie przerywa pracy ani na sekundę. Doprowadzony

do wściekłości, malarz wyciąga z kieszeni rewolwer i strzela w sufit. Pisarz odwraca się, rzuca błędne spojrzenie na rozjuszonego przyjaciela i mówi uprzejmie:

— Pomyślności!

I pisze dalej.

*

— Litościwa osobo, ślepy jestem...

— Jako ślepy? Przecież pan czyta gazetę.

— Gdzie ja tam czytam! Obrazki sobie oglądam...

KRYTYKA.

„Przejrzałem tom wierszy, który dałeś mi do przeczytania. Szkoda, żeś mi go nie dał do napisania”.

*

Fragment rozmowy, słyszanej na ulicy:

„...a chłopak ma osiem lat, to już na posyłki chodzi i sam na własne alimenty pracuje”...

*

— Jak się masz, Franiu? Ładnieś się wczoraj wstawił! Byłeś tak pijany, że nie rozumiem, jak doszedłeś do domu?

— Ja? Świetnie! Tylko kiedy byłem już na schodach, to mi jakiś pijak na rękę nadepnął.

*

Jeden z urzędników ministerstwa oświaty dostaje stos jakichś legitymacji do ułożenia według alfabetu. Dyrektor departamentu wchodzi do pokoju i zastaje przed urzędnikiem dużą tablicę z abecadłem.

— Panie, poco panu to abecadło?

— A, panie dyrektorze, bo to bardzo wygodnie! jak ułożę wszystkie legitymacje na A, wystarczy tylko

spojrzeć na tablicę i zaraz wiem, że potem idzie B. Jak B gotowe — spojrzę i zaraz widzę, że teraz trzeba C... i tak dalej!

*

Jeszcze o j a k a l e. — M-ma-ma pan kwa-kwa-drans cz-czasu? Chcia-chciałem z panem pp-po-pogadać p... p... pięć minut.

*

— Niema reguły bez wyjątków.

— Nie zawsze. Jaki jest wyjątek z reguły, że wszyscy ludzie muszą umrzeć?

— Jest to właśnie wyjątek z tej reguły, że niema reguły bez wyjątków.

*

Bankier Goldfein wyrzekł się wiary ojców swoich, wyrzekł narodu, przyjął chrzest wraz z żoną i synkiem, zaczął bywać w towarzystwie wyłącznie polskiem i katolickiem, słowem bankier Goldfein zasymilował się do szpiku kości. Jedno go tylko trapi: jego synek, dwunastoletni spadkobierca, ma straszny akcent. Mówi po polsku z żydowska — i to do tego stopnia, że Goldfein postanowił posłać swoją pociechę do internatu katolickiego, w którym wychowuje się młodzież arystokratyczna i ziemiańska, proceptorami zaś są księża. Goldfein ma nadzieję, że wśród takiego towarzystwa chłopiec pozbędzie się żydowskiego akcentu i zacznie mówić po polsku, jak rodowity polak.

Po pół roku Goldfein pojechał odwiedzić synka. Przy wejściu do internatu spotyka księdza:

— Czy ksiądz dobrodziej nie wie, gdzie jest mały Goldfein?

Na to ksiądz:

Co mam nie wiedzieć? Sze bawi tam w ogródku.

*

Handlarz: Może pan ma jaki stary garnitur?

Pan: Mam.

Handlarz: Co pan z nim robi?

Pan: Wieszam co wieczór na krzeselku przed łóżkiem, rano czyszczę i wkładam na siebie.

*

T., znudzony rozmową z jakąś starą, brzydką damą, koło której posadzono go na „obiedzie literackim”, opowiada później przyjacielowi swemu, S.:

— Nie masz pojęcia, co za piła!

— Piła? Gorzej! — odpowiada S. Piła ma przynajmniej zęby.

*

— Bywa pan w Glasgow?

— Stale jeżdżę.

— W jakim hotelu radzi mi pan stanąć?

— W Majestic.

— Mieszkał pan tam?

— Nie. Ale mieszkałem we wszystkich innych.

*

Courteline opowiada zabawną anegdotę o pierwszym swem spotkaniu z Verlainem. Liryk był urzęnięty w pień. Nie było mowy, aby mógł dostać się do domu. Courteline wsadza Verlaina do fiakra i zaczyna wypytywać go, gdzie mieszka:

— Na lewym brzegu?

— Nie.

— Montmartre?

— Nie.

— Bastylja?

— Tak... Niedaleko...

— Bulwar Beaumarchais?

— Nie.

- Rue de la Roquette?
- Tak.
- Numer?
- Nie wiem...
- Pierwszy?
- Nie.
- Drugi?
- Nie.
- Trzeci?
- Nie...
- Mieszkał, — kończy Courteline, pod 124!

*

— Chciałem zaznaczyć, panie dyrektorze, że pan jest pierwszym człowiekiem, któremu przeczytałem swój dramat.

- To niemożliwe.
- Dlaczego?
- Bo skąd ta spuchlizna na pańskiej twarzy?

*

W jednym z magazynów starożytności przy ulicy Świętokrzyskiej wystawiono niedawno obrazek, a koło niego umieszczono kartkę z napisem:

„Okazja!!! Oryginalny Rembrandt! Cena: 10 zł.
Prawdziwa wartość: 20 złotych”.

*

Książę Demidow odwiedził kiedyś posiadłość wielkiego obszarnika na Uralu. Ten z dumą pokazywał księciu wielkie stado koni, które pasło się na łące.

- Ile koni posiada pan? — zapytał Demidow.
- Trzy tysiące dwieście!
- O, to bardzo dużo! — odrzekł książę. Prawie tyle co ja koniuszych.

*

Dobry chłop ten Ludwik, ale kłamie, że uszy wiedną! Siedzimy w tych dniach z Jankiem u Ludwika w gabinecie. Ludwik opowiada nam niestworzone historie,

...i wtedy oglądam się — patrzę — stoi przedemną lew... Zadrzałem... ale on uśmiecha się, wyciąga łapę i mówi ludzkim głosem: „Serwus!”.

— Lutek, kłamiesz! To niemożliwe! — mówi Janek.

— Żebym trupem padł, jeżeli kłamię!

W tej samej chwili wchodzi do pokoju żona Ludwika. Janek spogląda na nią, wzdycha i szepce:

— Biedna wdowa!

*

Dwaj złodzieje porządkują nocą szuflady w podmiejskiej willi. Jeden z nich słyszy nagle szepty i kroki. Zagląda przez szparę i mówi do kolegi: „Oj, źle! Cała rodzina idzie, wszyscy uzbrojeni, nawet kobiety...”

— Kobiety?—woła drugi.—A my tacy nieogoleni...

*

W urzędzie pocztowym:

— Ten list jest za ciężki. Należy nalepić jeszcze jeden znaczek.

— Nie rozumiem! Przecież wtedy będzie jeszcze cięższy!

*

W muzeum. Przewodnik oprowadza gości:

— Ta płyta kamienna ma 70.003 lata.

— Skąd pan wie tak dokładnie?

— Trzy lata temu oglądał ją pewien geolog i powiedział, że ten kamień ma 70.000 lat.

BIBLIOTEKA HUMORU

Rozpisywać się na temat humoru, zachwalać dobroczynne skutki tej przedziwnej właściwości ducha ludzkiego, zachęcać bliźnich do czerpania pogody ze skarbnicy śmiechu, słowem reklamować to, co reklamy nie potrzebuje, gdyż jest przyrodzonym pożądanym każdego serca ludzkiego? Dumni z godności swego człowieczeństwa, zastanówmy się, że tylko mową i śmiechem górujemy nad zwierzętami. Ten dany nam od Stwórcy przywilej ludzki jest skarbem naszym najcenniejszym, jest geniuszu człowieka żywym i odwiecznym dokumentem.

BIBLIOTEKA HUMORU

będzie niejako archiwum, gromadzącem najcenniejsze dzieła humoru wszystkich czasów i narodów, będzie barwną i ciekawą encyklopedją utworów, których źródłem i ujściem był śmiech. Wszystko co powstało w literaturze z ducha dowcipu, satyry, groteski i ironji, komizmu, żartu, parodji, wszystko, co w dziejach piśmiennictwa powstało z owego specyficznego na świat i ludzi wejrzenia, któremu humor na imię, wszystko to znajdą czytelnicy „Biblioteki Humoru” w skondensowanych wyciągach, antologjach i opracowaniach. Każdy tomik „Biblioteki Humoru” poświęcony będzie bądź oddzielnemu pisarzowi (najznakomitsze wyjątki z dzieł humorystów polskich i obcych), bądź epoce lub zjawisku.

Tomiki „Biblioteki Humoru” ukazywać się będą co 2 tygodnie. Każda książeczka objętości 5 — 6 arkuszy druku, w barwnej okładce, stanowić będzie całość. — Redakcję wydawnictwa objął Julian Tuwim. Cena oddzielnego tomiku zł. 1.— w prenumeracie kwartalnej za 6 tomików zł. 5.—

BIBLIOTEKA HUMORU. Rok I. Redaktor
Juljan Tuwim. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa
wa (Mazowiecka 12).

Pojawiły się właśnie dalsze trzy tomiki: 5, 6 i 7. (Humor starej Anglii, Antologia polskiej parodji literackiej i Henry'ego: Bluff). Przeczytałem je z prawdziwą satysfakcją. Zbudziły we mnie refleksje, że tak powiem: społeczne. W Ameryce ucą pono śmiechu w lege artis prowadzonych zakładach. Praktyczny to naród: Amerykanie. Każdą zdrową myśl odrazu kapitalizują. Tam żywot myśli w przestrzeni abstraktu jest krótki. Ściągają ją z przestworzy na ziemię, materializują, organizują i wprzęgają w potrzeby codziennego życia. Powiedzieli pono uczeni lekarze czy biologowie, że śmiech uzdrowia i przedłuża życie. Osobiście w to święcie wierzę. Jestem żwawszy i lepszy, gdy się uśmieję. Warto się zmuszać do śmiechu! Otóż na tę myśl czy tezę naukową rzucili się przedsiębiorczy businessman'i i eksploatują ją jak rudę, ropę, radjo lub kokainę. **Zrobili z niej terapię.** My nie jesteśmy coprawda narodem tak zmyślnym i przedsiębiorczym, ale los zesłał nam pomysłowego poetę i wydawcę pp. Tuwima i Mortkowicza, którzy zwolna tworzą właśnie pewnego rodzaju propedeutykę śmiechu: „**Bibliotekę Humor**u”. Uważam ją, zupełnie szczerze, za zasługę, nie tylko literacką, ale i społeczną, im więcej szczerego śmiechu będzie w życiu naszym, tem więcej ochoty i woli do życia, tem więcej tężyzny i sprawności życiowej. Od czasów „Perła humoru polskiego” nie pamiętam takiego na większą skalę i tak zręcznie zorganizowanego zbiorowego wysiłku. Pomysł doskonały i zdrowy. Wobec niskiej ceny (1 zł. za tom!) lek przystępny wszystkim. Są tam rzeczy znakomite, ale życzyłby wypadało, by wartość poszczególnych rzeczy była jednolitsza.

Tygodnik „PRAWDA” w Łodzi z 10 lipca 1927

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



<http://ron.org.pl>

F
5409



F
5409